



ks. Krzysztof

GRZYWOCZ

ks. Mirosław

MALIŃSKI

Ślady Ojca

Przewodnik po budowaniu więzi



2RYBY.PL

ks. Krzysztof

GRZYWOCZ

ks. Mirosław

MALIŃSKI

Ślady Ojca

Przewodnik po budowaniu więzi

2.RYBY.PL

Wrocław 2023

Ślady ojca. Przewodnik po budowaniu więzi

ks. Krzysztof Grzywocz, ks. Mirosław Maliński

Redakcja części ks. Mirosława Malińskiego: Zuzanna Marek

Redakcja części ks. Krzysztofa Grzywocza: ks. Mirosław Maliński,
Zuzanna Marek

Konsultacja redakcyjna części ks. Krzysztofa Grzywocza:
dr Ryszard Paluch

Korekta: Magdalena Król, Martyna Czudziak

Ilustracje: Marta Makarczuk

Skład i łamanie: Veronika Zhuk

Część autorstwa ks. Krzysztofa Grzywocza powstała na podstawie nagrań zrealizowanych w klasztorze oo. dominikanów w Poznaniu 11 czerwca 2011 r. podczas spotkania pt. „Współczesny ojciec a biblijny obraz Boga Ojca”.

ISBN 978-83-966669-6-3

Wydanie I

Wydawca:

Fundacja Mathesianum

pl. bp. Nankiera 17a

50-140 Wrocław

e-mail: wydawnictwo@2ryby.pl

2ryby.pl

sklep.2ryby.pl

Copyright © by Wydawnictwo 2RYBY.PL, Fundacja Mathesianum,
Wrocław 2023

SPIS TREŚCI

WSTĘP	6
KS. MIROSŁAW MALIŃSKI	
Ojcostwo – wspólna praca, wspólna radość	12
Sens małżeństwa	13
Oczekiwania względem małżeństwa.....	68
Kobieta	71
Mężczyzna	87
Dialog	101
Zasady dialogu	105
List	121
Sakrament małżeństwa	124
KS. KRZYSZTOF GRZYWOCZ	
Współczesny ojciec – inspiracje biblijne	137
Wprowadzenie w temat	138
Stwórca	142
Pasterz	161
Przyjaciel	192

– Stasiu, synu mój, jeśli my tej nocy nie będziemy spali w namiocie, to mamusia całą noc będzie płakała.

– Rozbijamy – rezolutnie odparł malec. Nareszcie poskutkowało.

Czasami my mężczyźni musimy przypominać sobie, że jesteśmy ojcami, i można to robić, używając tego pięknego zwrotu „synu mój”.

Rola ojca

Zadania, jakie ma do spełnienia ojciec wobec dziecka, ściśle łączą się z tym, że dla nowo narodzonego malucha jest pierwszym obcym pojawiającym się w jego życiu – pierwszy człowiek, który jest „nie-mama”, pierwszy przedstawiciel całego świata zewnętrznego. W imieniu całej cywilizacji ludzkiej – ba!, nawet w imieniu kosmosu – jest „wydelegowany”, aby przywitać malca na pokładzie wielkiego statku, jakim jest świat. W ojcu spotyka on to wszystko, co nieznanne, i stąd zadaniem taty jest wyprowadzenie dziecka z domu, od matki i poprowadzenie go ku światu. Dlatego właśnie w wielu kulturach i społeczeństwach ojciec jest tym, który w czasie porodu przecina pępowinę. Ten gest jest niezwykle symboliczny, gdyż takie będzie też jego zadanie wobec dziecka – odciąć, uwolnić je od za-

leżności od matki, usamodzielnąć i wyprowadzić w świat.

Wkraczanie ojca w życie dziecka wygląda mniej więcej tak: przychodzi do maluszka jakiś nieznany, w sumie obcy człowiek, o szorstkim dotyku i zupełnie innym bukiecie zapachowym niż matka, bierze go na ręce i mówi „Ti, ti, ti”. A dziecko patrzy, patrzy, patrzy i jest trochę zaskoczone, bo oto przyszedł jakiś obcy facet i rości sobie do niego jakieś prawo. Z drugiej strony jednak dziecko stale się rozgląda i szuka swojego ojca. Ciekawi je, kto to jest, bo w jego rysach, zachowaniu, sposobie widzenia świata w przyszłości przecież będzie odkrywało samego siebie. I gdy zdarza się, że ojciec się nie pojawia, wówczas takie dziecko rozgląda się i szuka go często nawet do późnej starości...

Zadaniem ojca jako przedstawiciela kosmosu jest przekonanie dziecka, że ten świat, na którym się znalazło, jest dobry, piękny i fascynujący, że nic mu na nim nie grozi. W dużej mierze to od ojca będzie więc zależało, jak ukształtuje się stosunek dziecka do świata, do przyrody, do tego, co nowe i obce. Jeśli ojciec sam dobrze odnajduje się w świecie, fascynuje się nim, czyli kocha przyrodę, w którą chętnie i z ufnością się zapuszcza, czy też lubi cywilizację z jej osiągnięciami, to będzie potrafił przekazać to dziecku. Dzięki temu będzie ono chętnie traktować świat jako ojcowiznę, przestrzeń oswojoną. W budowaniu

obrazu świata w oczach dziecka rola ojca jest nie do przecenienia – więcej na ten temat w części ks. Grzywocza.

Pierwsze tygodnie, miesiące małżeństwa, gdy jeszcze nie ma dzieci, to wspaniały czas uczenia się przez małżonków okazywania sobie miłości i to w sposób spektakularny – by, gdy już pojawią się maluszki, było jasne i czytelne, kto jest tym jedynym dla mamy i tą jedyną taty. Ten czas bez dzieci to także moment budowania wzajemnego poczucia własnej wartości. Wszelkie westchnienia typu: „Boże, co ja bym bez ciebie zrobiła?”, spojrzenia pełne podziwu i uznania mogą wzmocnić mężczyznę, utwierdzić w nim poczucie bycia wartościowym we własnych oczach. Tu oczywiście ważna jest wzajemność, bo przyjmowanie przez żony z zadowoleniem i radością różnych oznak miłości – wypowiedanych przez przyszłych ojców jednym z tych, dawno już opisanych przez specjalistów, języków miłości – stanowi zachętę do dalszych tego typu zachowań. Ten okres w życiu małżonków to w końcu też czas pewnego treningu, aby, gdy pojawi się dziecko, wzajemne okazywanie sobie miłości przez rodziców weszło już w krew i stało się naturalnym, codziennym sposobem współistnienia. Jak widać, czas „przed dziećmi” jest niezwykle ważny dla ich dobrego rozwoju.

Życie rodzinne przypomina trochę pobyt na łajbie, a dokładniej w takiej „kabinówce”. Pod pokładem jest ciepło, sucho, cicho i bezpiecznie – to jest

królestwo matki. Na zewnątrz ogromne przestrzenie, fascynujący świat, ale wieje wiatr, bywa chłodno, a nawet niebezpiecznie – to jest królestwo ojca. Tam toczy się też nieustanna walka o przetrwanie. Dziecko wychowuje się między tymi dwoma królestwami. Siedzi sobie w kabinie łajby, gdzie jest spokojnie i bezpiecznie, popija „kakałko” i zagryza ciastko. Tymczasem ojciec je kusi: „Chodź, chodź, wyjdź na zewnątrz na pokład. Zobacz, jakie tu są przestrzenie. Popatrz na chmury płynące po niebie, zajrzyj w głębiny”. I ono wychodzi. Zafascynowane patrzy na niezwykle spektakl wiatru przeganiającego chmury. Ojciec pokazuje mu przelatujący klucz gęsi, nurkujące w wodne otchłanie perkozy i kormorany. Nagle pojawia się szkwał i fale rozpadają się na drobne. Dziecko zmoczone i wystraszone ucieka pod pokład do mamy, bo tam sucho, ciepło i „kakałko” w kubku paruje. Chwila wytchnienia jednak nie trwa zbyt długo. Ponownie pojawia się ojciec i zaprasza, i kusi. Opowiada z pasją o wodnych głębinach i o rozkoszy, jaką daje nadymający żagle wiatr. Dziecku błyszczą oczy. Ponownie rusza za ojcem w świat, w nieznanne. Zostawia matkę, powoli zdobywając i samodzielność, i świat. Jest to przejmujący proces, w którym ojciec dzień po dniu odcina pępowinę, czyli staje między dzieckiem a matką i wskazuje ręką na wielki, wspaniały świat. Zapewnia, że można w nim sobie świetnie poradzić. Ojciec bowiem sam jest dowodem na to, że świat nie jest wrogi, że można go oswoić, a łódka

życia – jak każda inna – ma ster i można nią kierować, ba, można nawet halsować, płynąć pod wiatr.

Tak jak matka przez swoją obecność w pierwszych latach życia buduje w dziecku poczucie bezpieczeństwa wewnętrznego, tak ojciec pomaga wykształcić poczucie bezpieczeństwa zewnętrznego oraz samodzielności. One pozwalają dziecku odważyć się na samotną wędrówkę w nieznaną, i to mimo deszczu zacinającego w oczy.

Jestem głęboko przekonany, że istnieje archetypiczność postaci matki i ojca. Dziecko wraca ze szkoły i krzyczy, będąc jeszcze w drzwiach:

– Jest mama?

– Jest, a co chciałeś? – odpowiada matka.

– Nic. A kiedy wróci tata?

Takie wydarzenie – które z pewnością miało miejsce w niejednym domu i to nieraz – odczytuję jako oznakę archetypiczności postaci rodziców. Dziecko obnaża tu swoje naturalne oczekiwanie obecności matki w domu, a ojca w zewnętrznym świecie. Stąd z pewnym dystansem odnoszę się do urlopów tacierzyńskich w pierwszych latach życia dziecka. (I nie chodzi mi tu tylko o problemy wynikające z karmienia piersią). Bo według mnie ten pomysł jest sprzeczny z elementarną higieną naszego życia, zakłóca harmonię, jaką ukształtowała natura. By to zobrazować, odwołam się do zdarzenia, które miało miejsce w domu moich przyjaciół.

Mieszkali wtedy w bloku na wielkim osiedlu. Był upalny, czerwcowy dzień, powietrze naelektryzowane i o ciężale stojące. Nad miastem wisiały ołowiane chmury, które przysłaniały słońce. W zimnym świetle trawniki raziły swą jaskrawą zielenią. Burza była czymś nieuchronnym. Jestem pasjonatem błyskawic i huków. Burze mi imponują. Uwielbiam leżeć w rozstawionym w lesie namiocie, bezpośrednio na jego podłodze i całym ciałem chłonać drżenie ziemi rezonującej potężne wyładowania albo stać nocą w otwartym oknie i śledzić rozchodzące się po niebie błyski przypominające czasami rysunek rzeki z wieloma dopływami. Nadchodząca nawałnica była wystarczającym powodem, by przyśpieszyć kroku, dotrzeć do znajomych i w końcu stanąć przy otwartym oknie, sycąc się żywiołem, szalejącą naturą. Po przybyciu od razu ulokowałem się w otwartym na oścież oknie i czekałem na pierwsze pioruny i ulewę. Obok mnie pojawił się mały Jonaszek, syn przyjaciół, i po chwili oparł nos na parapecie – czekaliśmy razem w milczeniu. I nagle dwa pioruny, jeden za drugim, trafiły prosto w pobliski kościół. Potężny huk wstrząsnął domem, że mało szyby nie powypadały. Zaczęło się. Kątem oka spojrzałem na chłopca. Ani drgnął. Spytałem:

- Jonasz, boisz się?
- Nie – odparł krótko.
- Nie narobiłeś w majtki?
- Nie – pokiwał głową.

– A dlaczego się nie boisz? – zagadnąłem, przekrzykując szum ulewy.

– Tata w domu.

Tę odpowiedź odebrałem jak cios w samo serce. Wzięłem więc głęboki oddech. W jednej sekundzie zdałem sobie sprawę, jaka jest cena mojego celibatu. Nigdy mój syn nie powie, że nie boi się piorunów, bo ja, jego ojciec, jestem w pobliżu. To wysoka cena. Jednocześnie z ogromnym szacunkiem pomyślałem o ojcu małego Jonasza. Jego syn nawet piorunów się nie boi, bo ojciec jest w pobliżu. Poszedłem mu pogratulować i wyrazić swój podziw.

Wieczorem, siedząc przy kolacji, wróciliśmy do tego zdarzenia. Zacząłem rodziców Jonasza ciągnąć za język: „A czy ostatnio chłopiec czegoś się bał, coś go wystraszyło?”. Moi rozmówcy wzruszali ramionami, spoglądali na siebie badawczo. I nic. Ale nagle, mama Jonasza zaczęła opowieść:

– To było jakieś dwa miesiące temu. Wczesnym popołudniem jechaliśmy samochodem przez las. Ja z mężem siedzieliśmy z przodu, Jonaszek w foteliku na tylnym siedzeniu. Słońce radośnie świeciło, ale mimo to dosłownie w ciągu kilku minut nadciągnęły straszne chmury, zrobiło się ciemno i lunął deszcz. Ulewa tak silna, że wycieraczki nie nadały zbierać. Jonasz bardzo się wystraszył i zaczął płakać.

– Nic dziwnego – przerwał jej mąż. – To rzeczywiście była potężna ulewa, która pojawiła się zupełnie nagle – usprawiedliwiał zachowanie syna.

– I co zrobiliście? – zapytałem zaciekawiony.

– No, odwróciłam się do Jonasza – przypominała sobie mama – położyłam rękę na jego rączce i powiedziałam mu: „Jonaszku, nie płacz, nic nam nie grozi, tatuś jest z nami”.

– I co się stało? – dopytywałem.

– A wiesz, on się zaraz uspokoił, a mąż zaczął sobie coś nucić pod nosem.

O właśnie, mężczyzna sam nie jest w stanie tego dokonać. Kobieta, jego żona, musi synowi wskazać ojca i pomóc mu zbudować taki autorytet, by dziecko poczuło się bezpieczne w jego towarzystwie, a wówczas mężczyzna może dziecko wyprowadzić z domu, od matki w świat. Oczywiście wpływ ojca na latające w zjonizowanym powietrzu pioruny jest żaden, ale poczucie bezpieczeństwa dziecka jest realne, a przecież tego ono potrzebuje w sytuacji, która przerasta granice jego wytrzymałości. Budowanie macierzyństwa i ojcostwa to nie są prace prowadzone indywidualnie, to wspólny wysiłek obojga rodziców. Niemniej mężczyzna powinien budować swe ojcostwo w pocie czoła. Zakasawszy rękawy, musi odwalić kawał ciężkiej roboty. Na szczęście później satysfakcja jest kosmiczna, choć niestety często przychodzi dopiero wtedy, gdy wnuki wdrapują mu się na kolana i opowiadają dziadkowi, jakiego mają wspaniałego ojca.

W tym realnym trudzie budowania ojcostwa niekorzystną okolicznością jest fakt, że mamuty wyginęły. Dopóki po Ziemi spacerowały te piękne, futrzaste

zwierzęta, sprawa była dużo prostsza. Ojciec brał swoje dzieci i szedł na polowanie. Kopali wielki dół, wbijali zaostrome pale, po czym maskowali pułapkę i wchodzili na drzewo. W końcu zjawiał się i mamut. Człap, człap, człap zbliżał się do pułapki, aż tu „ryps” do dołu i na pale. Ojciec dopadał zwierza, wpijał mu dzidę między oczy. A dzieci patrzyły z podziwem i myślały sobie: „No, my to mamy ojca. Potrafi zabić mamuta”. On łapał zdobycz za trąbę, zarzucał sobie na plecy... i zanosił do domu. Rzucił żonie na stół, a ta, patrząc na niego z podziwem, myślała sobie: „No, ja to mam męża”. I żyli długo i szczęśliwie.

Dziś problem polega na tym, że mamuty wyginęły. Wydaje się więc, że obecnie do budowania ojcowskiego autorytetu najlepszą przestrzenią jest edukacja. Ojciec bierze dziecko na spacer i nieustannie wyjaśnia mu świat: „O, widzisz, to jest kasztanowiec. Potężne drzewo. Popatrz drzewa mają różne systemy korzeniowe. Są korzenie wiązkowe, palowe, czepne, a są też spichrzowe i niektóre korzenie roślin nawet jemy. Przynieś, synu, łopatkę, odkopujemy i sprawdzamy, jaki system ma kasztanowiec, z którego owoców robimy ludziki na jesień”. A dziecko patrzy szerokimi oczyma i myśli sobie: „No, ja to mam ojca, on wszystko wie...”. Za chwilę szybka zmiana tematu: „Widzisz, synu, ten ciąg kamienic? Każda z nich stoi na fundamentach. Wielkość fundamentu zależy od wysokości budynku i od podłoża, na którym on stoi.

Jeśli posadowienie jest luźne, piaszczyste, to i fundament musi być solidniejszy, a jeśli..., a co tam gadanie, przynieś łopatkę kopiemy”.

Tyle tylko, że czas na tego typu działania edukacyjne jest obecnie bardzo ograniczony, bo gdy tylko dziecko dostanie pierwszy tablet, szybko się zorientuje, że wiedza ojca jest szalenie ograniczona. Wówczas pozostaje jeszcze uczenie dziecka umiejętności, co jednak odbywa się w środowisku wielkiej konkurencji, jaką są filmiki instruktażowe na YouTube, a znalezienie przestrzeni bez zasięgu wydaje się coraz trudniejsze. Warto jednak uczyć, ile się da – jak rozbić namiot, rozwiesić hamak, rozpalić ognisko, usmażyć naleśniki na kamieniu... albo zabrać się za najbardziej praktyczne czynności, jak czyszczenie butów i przepychanie zatkane zlewu. Poza tym Internet nie jest w stanie tak dobrze nauczyć sprawności, a także współdziałania i współpracy. Wszystkie książki, które przeczytaliśmy, cała nabyta wiedza, wszystkie obejrzone filmy nagle stają się niezwykle użyteczne i potrzebne w wychowywaniu dzieci i w stawaniu się dla nich ojcem. Nieustannie uczyć swoje dzieci – przy śniadaniu, obiedzie i kolacji, zawożąc z nimi rzeczy do pralni, idąc na wycieczkę w góry. Wtedy świat staje się ciekawy i interesujący. Nauczanie naturalne, czyli przygodne, powinno być trzonem zasadniczym edukacji młodych pokoleń, szkoła na-

tomiast powinna tylko uzupełniać i systematyzować to wszystko, czego dzieci nauczyły się od swoich rodziców. Dlaczego to takie ważne? Bo wtedy pociechy czują się bezpieczne przy swoim ojcu i wobec świata, który można zrozumieć, bo funkcjonuje według poznawalnych zasad. Tak zdobywane zaufanie oparte na wiedzy i umiejętnościach ojca jest warunkiem *sine qua non*, żeby mężczyzna w oczach dziecka mógł zaistnieć jako ojciec.

Mądry ojciec nieustannie też dba o wychowanie swojego dziecka do pełnej samodzielności. Nie robi niczego za nie, ale wiele robi z nim, nawet jeśli takie działanie okazuje się o wiele bardziej czasochłonne.

Po mszy świętej dla rodzin w czasie agapy, w której uczestniczyło mnóstwo ludzi, do mojego przyjaciela Maćka podszedł jeden z jego synów. Kuba miał może z sześć lat. W rękę trzymał papierowy kubek z termiczną osłonką, pełen gorącej herbaty.

– Tato, herbata jest taka gorąca, a mnie bardzo chce się pić. Zrób coś – poprosił, robiąc maślane oczka.

– Możesz sobie podmuchać – zaproponował Maciek.

– Tak, ale to będzie długo trwało.

– No to co jeszcze możesz zrobić? – spytał malca. Ten się chwilę zastanawiał.

– Myślałem, żeby dolać trochę zimnej wody z kranu...

– No świetny pomysł. Wiesz, gdzie jest łazienka.

– Wiem, jest tam duża kolejka i ciągle zajęte.

– No to pomyśl jeszcze nad innym rozwiązaniem –

malec zmarszczył czoło. – Co? Nic ci nie przychodzi do głowy?

– Nic – odparł trochę zrezygnowany.

– A jaka jest dziś pogoda? – spytał ojciec Kuby.

– No śniegu napadało... – i nagle malec... *eureka!* – Pobiegnę wsadzić herbatę w śnieg i ostygnie szybko.

– No świetny pomysł – ucieszył się Maciek, a malec, nie czekając ani chwili, ruszył do wyjścia.

Dwa tygodnie później w podobnych okolicznościach przyrody zaobserwowałem analogiczną scenę, ale grali w niej już inni aktorzy. Otóż do sześciolatniego Kuby dokładnie w tej samej sprawie podszedł jego młodszy brat Grzesiu. Rozmowa była kalką tej, której byłem świadkiem dwa tygodnie wcześniej, ale dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że Maciej uczył swego syna nie tylko zaradności, pomysłowości i samodzielności, ale i ojcostwa. I z tej nauki Kuba skorzystał przy pierwszej nadarzającej się okazji, trenując swoje przyszłe ojcostwo. Tak oto z Kuby przekształcił się w Jakuba.

Ojciec jawi się dla syna jako wzorzec, jak jeszcze do 2018 roku wystawiany w Sèvres pod Paryżem wzorzec metra. Dziecko kopiuje, naśladuje zachowania, które są wartościowe, a nie ma nic bardziej wartościowego do kopiowania jak postępowanie ojca. Owszem przyjdzie czas, gdy dziecko będzie musiało to wszystko podważyć, zbuntować się i zacząć na nowo, po swojemu. Ale jakże często odkrywamy, że

po drugiej stronie młodzieńczego buntu pojawiają się te same wzorce.

Niemniej najcenniejszym wychowaniem jest uczenie przygodne, dokonujące się przez przykład. Wszystkie pouczające gadki, pogadanki są psu na budę, jeśli nie wypływają z życiowego doświadczenia. Liczy się nie to, co rodzice mówią, ale jak postępują. Tu postawię kropkę, bo zaczynam ocierać się o truizm.

Wracając kiedyś wieczorem z weselnego obiadu, wpadłem na bardzo głupi pomysł, by po drodze zahaczyć o hipermarket. Chciałem kupić sobie dwie bułki na niedzielne śniadanie. Nietrafność tego pomysłu odkryłem, gdy z dwiema kajzerkami stanąłem w ogromnej kolejce do kasy. Ale cóż... Wykorzystałem sytuację i zacząłem się bacznie przyglądać ludziom. Moją uwagę przyciągnął ojciec z synkiem, stojący na końcu długiej kolejki. Malec siedział w wypełnionym po brzegi wózku zakupowym i prowadził ożywioną rozmowę z ojcem, który – jak się domyśliłem po zniszczonych rękach ze śladami farby – był najprawdopodobniej prostym robotnikiem.

– Tato, ale zrobiłeś zakupy – malec z podziwem oganiał spojrzeniem zawartość wózka.

– Zrobiliśmy, bo ty też coś wrzucałeś.

– Tak, kazałeś wybrać parówki i jogurty.

– To pokaż, co wybrałeś? – malec wyszukał produkty w koszyku.

– Tam było dużo różnych parówek, to dlaczego te? – spytał ojciec z zainteresowaniem.

– Bo te mi się podobały. Jest na nich rysunek z bajki, którą znam, i są mięciutkie w dotyku.

– No to, co mówisz, jest logiczne – odparł ojciec lekko zamyślony. Zapanowała chwila ciszy.

– A ty, tatuś, jakie byś wybrał? – zapytał ostrożnie synek.

– Nie wiem. Musiałbym poczytać.

– Poczytać? – zdziwił się chłopczyk. – A co poczytać?

– No to, co napisali na opakowaniu. Tam omawiają skład produktu, czyli to, czy są w nim niezdrowe konserwanty i takie tam.

– To poczytajmy, ale ja jeszcze nie umiem, ty czytaj.

Ojciec przez kilka minut czytał skład parówek, wyjaśniając malcowi, jaka jest zawartość mięsa, tłuszczu, węglowodanów, białka. Przyznał się od razu, że nie wszystko rozumie i annato norbiksyna oraz chlorek wapnia nic mu nie mówią, ale nad konserwantami i barwnikami, podobnie jak na zawartością energetyczną, już się pochylił. Malec zaproponował, że pobiegnie wymienić na inne. Przyniósł trzy rodzaje i wybierali z ojcem, które będą najlepsze, śledząc skład i porównując ceny. W końcu zabrali się za jogurty. Chłopcu w kolejce się nie nudziło, był zachwycony tym, co się działo. Gołym okiem było widać, jaka silna jest ich więź i co to znaczy wychowanie przygodne, wychowanie do samodzielności. A ja już nie żałowałem nieroztropnych zakupów dwóch

bułek w sobotni wieczór. Co więcej, muszę przyznać, że łezkę uroniłem.

Nie ma lepszego nauczania jak właśnie takie przygodne, a jest to szkoła Chrystusa, który swym apostołom nie przekazywał inaczej Dobrej Nowiny jak właśnie tak, przy okazji różnych zdarzeń. A gdy już zdarzył Mu się jakiś dłuższy wykład, to bywał trudny do przyjęcia. To nastawienie ojca na kształcenie ustawiczne, poprzez spokojną rozmowę, w której każde pytanie jest ważne, wzmacnia w dziecku poczucie własnej wartości, autorytet ojca, a co być może najważniejsze: nic porozumienia, więź dziecka z ojcem, czyli to wszystko, co tak szumnie nazywamy miłością.

Zapracowani ojcowie

A co począć, gdy ojcowie dużo pracują i mają niewiele czasu dla dzieci? Przecież zdarza się to nierzadko. Warto podjąć wszelkie możliwe działania, aby zniwelować możliwe negatywne skutki takiej sytuacji. Choć, jak pokazuje życie wielu rodzin, borykanie się ojca z bezrobociem jest groźniejsze niż nadmiar pracy, ponieważ mężczyzna pozbawiony jej czuje się mało wartościowy, kurczy się w sobie i często przywdziewa zbroję nieczułości.

Potwierdzeniem tej uwagi ogólnej jest dla mnie historia z życia mojego przyjaciela, który długo i in-